Nr. 27. We Lwowie dnia 2. Lipca 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

21)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Ukończywszy studja geologiczne w Dorpacie, Aleksander Czekanowski zamierzał, po wakacjach letnich 1857 r., przystąpić do egzaminu na kandydata geologji i mineralogji. Wyjechał na Wołyń, w celu dopełnienia obserwacji swoich nad skałami krystalicznemi i opracowania rozprawy, wymaganej przy egzaminie; nadto prosił go Zygmunt Kaczkowski o załatwienie jakiejś sprawy pojedynkowej w jego imieniu. W tym to czasie zaszły wypadki, bliżej nam nie znane, które spowodowały przełom w trybie i warunkach życia Aleksandra.

W roku 1863 gdym go spotkał w Kijowie, dowiedziałem się od niego samego tylko tyle, że brak funduszów stał głównie na przeszkodzie powrotowi do Dorpatu. Musiał pracą ciężką zarabiać odtąd na utrzymanie. Zajął posadę w zarządzie prywatnym budowy telegrafów, nauczył się gruntownie języka angielskiego i miał zamiar przeniesienia się do posiadłości angielskich w Indjach wschodnich. Wypadki najbliższe położyły jednak tamę wszelkim projektom. Aresztowany, więziony był w Kijowie, a gdy ucieczka z fortecy przez podkop, wykonany w cytadeli kijowskiej się nie udała, (tym podkopem tylko Jurjewicz jeden, o ile wiem, zdołał dostać się na swobodę), zasądzony został do kopalń syberyjskich.

Drogę do Tobolska odbył Aleksander pieszo w towarzystwie Mikołaja Hartunga, chemika, ucznia i asystenta prof. Fonberga; w ciągu tej drogi zebrał bogatą kollekcję owadów, przeważnie tęgopokrywowych. Jego zdrowie, prawdziwie „kamienne“, jak je nazywali koledzy, pozwoliło mu przenieść niewczasy, głód częsty i inne ciężkie warunki podróży: dopiero w Tobolsku zaczął zapadać na zdrowiu, a w drodze do Tomska zachorował na tyfus. Koledzy wieźli go chorego aż do miasta, o którym mowa, lecz tam, prawie nieprzytomnego pozostawić musieli w szpitalu. O tym smutnym wypadku dowiedzieliśmy się w więzieniu Irkuckiem. Silny jednak organizm Czekanowskiego pokonał chorobę i już w czerwcu 1865 stanął w Siwakowej nad Ingodą, gdzieśmy go oczekiwali z upragnieniem. Tu koledzy jego, uprzednio przybyli, przygotowali osobny dla niego lokalik w ziemiance, gdzie powoli, odpocząwszy po długiej chorobie i po dłuższych jeszcze podróżach, zaczął przychodzić do siebie. Wszyscyśmy jednak, cośmy znali uprzednio Aleksandra, zauważyli znaczne w nim zmiany, smutek jakiś głęboki był na jego twarzy, dawniej tak ożywionej. W gorączkowej pracy kollektorskiej, której się oddawał z zapałem w miarę możności, nie znajdował ukojenia w cierpieniach dotkliwych, nurtujących jego duszę. Gdy nas przeniesiono do Darasunia, sądziliśmy, że pobyt w tej górskiej okolicy, wśród lepszych warunków bytu, dodatnio wpływać będzie na niego. Bawił jednak tutaj zbyt krótko, bo już przed jesienią 1866 r. kazano mu wrócić do Irkucka i z tamtąd wysłano wprost do Padunia nad Angarą. Były to chwile w jego życiu najcięższe, to też słusznie powiada Marjan Dubiecki, że śmierć głodowa zazierała często do jego smutnej lepianki pod tę dobę. Rzucony do nędznej wioszczyny, bez wszelkich środków, w chwili, gdy nienawiść ludności ciemnej ku zesłanym polakom, podniecana i wytwarzana sztucznie przez władze — dosięgła swego zenitu. Miało to właśnie miejsce wprędce po niefortunnem powstaniu, zwanym „Dokołabajkalskiem“. Tubylcom wmówiono, że polacy powzięli zamiar rznąć wszystkich i palić wszystko — suggestjonowano konieczność wywzajemnienia się odpowiedniego. Obawa przed tymi, rzekomymi barbarzyńcami polakami była tak wielka wśród ludności, że nawet w miejscowościach, odległych o 500 wiorst od Bajkału tarasowano na noc wejście do domów, w oczekiwaniu na całe zastępy „dzikich ludzi“, jakimi nazywano w owej chwili polaków.

Jeżeli zważymy okoliczności, wyżej przytoczone, to łatwo będziemy mogli zrozumieć przyczyny, z racji których władze wioskowe przyjęły

tak nieżyczliwie i niechętnie naszych zesłanych, żadnej pomocy udzielić nie chciały, odmówiły im nawet prawa na mieszkanie w izbach włościańskich, lecz natomiast odesłały do łaźni dymnych („Czornyja bani“), gdzie zwykle zamykają trędowatych na Syberji.*)

Żyjąc w pośród warunków niepomyślnych, otoczeni ludnością, podniecaną do wrogich występów przeciwko nim, zbudowali skazani nasi ziemiankę bez okien i w niej przy świetle łuczywa, lub ogniska, podsycanego drzewem, przyniesionem na własnych barkach z okolic dalekich, pędzili żywot najczęściej o głodzie, bo gdy zapracować na chleb powszedni nie mieli możności żadnej, karmić się musieli rybą, złowioną na wędkę, albo zwierzyną, upolowaną bez broni palnej, gdyż tej posiadać nie mieli prawa, a i kupić nie mieli za co. Żaden „Robinson“ z opowieści fantastycznych, rzucony na wyspę bezludną, nie znosił tak często głodu, nie cierpiał od zimna i od dzikiego zwierza, które tu niestety miały oblicze ludzkie — ile tego wszystkiego doznał Aleksander w Paduniu. A jednak nie słyszałem nigdy z ust jego wychodzącej skargi, albo wypowiadanego narzekania, tylko smutkiem jakimś głębokim powlokła się twarz jego, dawniej tak jasna i zdawała się przemawiać do nas wyrazem cierpienia tajonego, nawet i wtedy, gdy nastały lepsze czasy, że dusza zbolała tak zwanego szczęścia odczuć już nie potrafi, jego nie pragnie a nawet przenieść nie zdoła.

W Paduniu odszukał Czekanowskiego przyjaciel jego Fryderyk Schmidt, podówczas już akademik, dawny towarzysz Aleksandra z Dorpatu. Dowiedziawszy się w przejeździe przez Irkuck, od znajomych Czekanowskiego, o rozpaczliwem jego położeniu, przybył natychmiast do Padunia, pod protekstem, że musi zbadać olbrzymie tamtejsze porohy na Angarze. Znalazł on Aleksandra, zmienionego bardzo i osłabionego fizycznie. Na razie zrobił co mógł, zakupił od niego, na rzecz zbiorów akademji w Petersburgu kollekcje entomologiczne i botaniczne, by chociaż w ten sposób módz dopomódz materjalnie, gdyż wiedział, że innego wsparcia nie przyjmie Czekanowski, nawet i od przyjaciela; następnie zostawił mu te z dzieł naukowo-geologicznych, jakie miał przy sobie po odbytej podróży na północ, dokąd był wysłany z łona Akademji, w celu uratowania resztek mammuta, znalezionego przez tubylców. Ale obok tego wszystkiego co zdziałał osobiście dla Aleksandra, przemówił on jeszcze gorąco do władz miejscowych i do serc ludności, ażeby ulżyć chciano doli innych zesłanych.

Pobyt Akademika Schmidt'a w Paduniu miał skutki cudowne, wprędce rozniosła się wieść po okolicy, że sam „Car“ z Petersburga przysłał najzaufańszego ze swych sług „Imperatorskiego Akademika“, ażeby się naocznie przekonał na miejscu o tem, jak się powodzi Aleksandrowi, synowi Laurentego. Taka rzekoma dbałość ze strony „Cara“ o los Aleksandra, otoczyć go musiała w oczach ludności niezwykłą aureolą, a rozgłos o samym wypadku wybiegł daleko po za granice wioski paduńskiej. Już w kilka lat po tem zdarzeniu, na jednej ze stacji gdym jechał po trakcie „dokoła Bajkału“, pytał mię pisarz pocztowy „czy to prawda, że Czekanowski pochodzi z rodziny królewskiej“, bo że należy on do „znatnych wielmoż“ rzeczą jest niewątpliwą, dodał. „On nigdy“ powiedział pisarz, do szklanki mu podanej przy herbacie, nie naleje essencji, jak to zwykle czynią inni, zanim serwetą własną i czystą jej nie wytrze, a przecież tego prosty człowiek nie zrobi, albo, gdy przyjedzie np. na stację, zaraz się umyje, uczesze, a nie tak jak inni, co to po kilka dni z rzędu się nie myją nawet i z „czynem generała“. Innym razem przewodnik, ulubieniec Czekanowskiego, towarzyszący nam podczas ekspedycji, przedsiębranej w celu zbadania jeziora Kossogoła i góry Munku-Sardyk, położonych w ziemi Urjanchów i Darchatów, po za granicami państwa Rossyjskiego, chcąc dogodzić skruputalnej czystości Aleksandra, nawet i w podróży, zamiast wytrzeć połą od swego ubrania miseczkę drewnianą zwaną „agaja“, jak to czynił, gdy nam, spragnionym po długim, męczącym pochodzie przez step, podawał mleko kwaśne do picia, umyślił ją wyczyścić własnym swoim językiem, przed nalaniem mleka dla Czekanowskiego, sądził on, że w ten sposób osiągnięty przezeń zostanie w danym wypadku szczyt możebnej czystości, godnej osoby, którą tak szanował i poważał, ku wielkiemu jednak zmartwieniu „gawryły“ (tak zwano przewodnika), Czekanowski pomimo pragnienia, podanej sobie ajagi nie przyjął. Uskarżał się nam później gawryło w Kultuku temi słowy: „Prawda, Aleksander Ławrentjewicz jest osobą „znatnego“ rodu, ale przecież i mój język nie pahany“.

*) Nie robimy tu wcale zarzutu ludności całej w Paduniu, bo ona była, jak i ludność w wielu innych miejscowościach Syberji, tylko narzędziem bezwiednem w rękach nikczemników, agitatorów, rekrutowanych jak wszędzie, tak i tam zwykle z najbardziej wstrętnych żywiołów społecznych, tyjących krzywdą bliźnich, oddanych pijaństwu i rozpuście, amatorów łapówek i płac gadzinowych. Dobra, ludzka, miękka ludność tubylcza w wypadkach, gdy jeszcze „nie obrusiała“, bez sztucznych podniet zewnętrznych nigdy nie była nam wrogą, owszem jej życzliwości zawdzięczać mamy wiele jasnych chwil, spędzonych na wygnaniu. Ręczę, że życie ludzi wolnomyślnych byłoby stokroć cięższe, niż w Paduniu, gdyby ich losy zagnały np. w okolice, pozostające pod wpływem „abrazcowych Haliczan“, bo raz tylko niech kto da przystęp do serca swego podszeptom fanatyzmu i szowinizmu, mających swe źródło w nizkim egoizmie, czy to osobistym, czy też plemiennym, a istota jego ludzka zamieni się niezawodnie w bydlęcą, najnikczemniejszą.

Słowacy a korona św. Stefana.

Przed samym wybuchem rewolucji węgierskiej r. 1848 przynajmniej niektórzy »miejscowi przedstawiciele narodu madziarskiego« dali się nakłonić do rokowań ugodowych ze Słowakami. Najwybitniejszym wyrazem tych rokowań było ogólne zgromadzenie narodowe w Liptowskim sv. Mikulašu 10. maja 1848 r., w którym wzięli udział nie tylko wysłańcy całego narodu słowackiego, ale także szlachta, uważająca siebie przecież za część narodu madziarskiego. Na zgromadzeniu tym panowała zupełna harmonja i wzajemna życzliwość, a wynikiem tej wspaniałej manifestacji narodowej była zgodna uchwała, obejmująca 14 punktów »Żądań narodu słowackiego«, a podpisana, »imieniem narodu słowackiego«, przez Michała Misloslawa Hodżę, jako przewodniczącego na owem zgromadzeniu narodowem. Te 14 punktów podajemy tu w skróceniu:

1. »Naród słowacki w ojczyźnie Węgierskiej budzi się z tysiącletniego snu, jako pranaród tej krainy, mając pełną świadomość, że ta święta matka-ziemia, będąca niegdyś kolebką historji i starodawnej sławy jego przodków, była do niedawna jeszcze tylko macochą jego, obchodzącą się z nim bez miłosierdzia, trzymającą jego język w więzach pogardy i pohańbienia. Ale w chwili swego przebudzenia naród słowacki chce zapomnieć o całych stuleciach swoich krzywd. Przeto, rządząc się jedynie miłością ojczyzny i powołując wszystkie narody węgierskie do równości i braterstwa, naród słowacki oświadcza, że zaszczytna nazwa patryjoty węgierskiego nie należy się nikomu, kto nie szanuje praw narodowych innego narodu, zostającego pod koroną węgierską. Skutkiem tego żądamy:

»2. aby na podstawie równości narodów węgierskich ustanowiono jeden wspólny sejm bratnich narodów, żyjących pod koroną węgierską, na którym każdy naród, jako naród, miałby swoich przedstawicieli, każdy zaś przedstawiciel narodowy zobowiązałby się przemawiać w imieniu swego narodu w swoim języku narodowym, rozumiejąc jednocześnie język innych narodów, prawnie w sejmie reprezentowanych. Obok tego wspólnego sejmu krajowego wszystkich narodów żądamy

»3. osobnych sejmów narodowych (kongresów), na których obradowanoby o sprawach, dotyczących tak dobra narodowego, jako też ogólnego dobra całego kraju. W tym celu powinny być oznaczone granice etnograficzne, aby każdy naród mógł i miał prawo silnie ciągnąć ku swemu centrum narodowemu, tak żeby nie była zmuszoną służyć i poddawać się ani mniejszość madziarska większości słowackiej, ani też mniejszość słowacka większości madziarskiej. Gwoli temu ścisłemu przestrzeganiu wolności i praw narodowych żądamy.

»4. aby wysłańcy wszystkich narodów węgierskich zobowiązali się przysięgą mówić na sejmie krajowym w duchu instrukcji, danych im przez ich mocodawców; w razie zaś niewierności i zdrady narodowej, aby ulegali karom, ustanowić się mającym przez mocodawców. Zwłaszcza naród słowacki, liczący najwięcej zdrajców swojej narodowości, ma dostateczne powody do wypowiedzenia i wszechstronnego popierania tego żądania.

»5. Żądamy, ażeby prawo to, według którego już teraz, w tem początkującem przeradzaniu się kraju, język madiarski ma być językiem rokowań (debatów) komitatowych (stoličnych) wydziałowych (výborových), a przez to samo naród nasz zostaje zmuszonym do bezprawia za pomocą prawa, — żądamy tedy, ażeby prawo to zmieniono już teraz w ten sposób, żeby do wszelkich rokowań publicznych wprowadzono język ojczysty. Boć święte słowo wolności depce się z pogardą, kiedy naród słowacki, nie rozumiejący po madiarsku, przy rokowaniach w języku dla niego niezrozumiałym skazuje się na niemotę. Grzeszyłby naród przeciwko sobie i krajowi, gdyby czy to potakiwał, czy też opierał się takim postanowieniom, których nie rozumie. A do takiego bezprawia nie śmie i nie może przymuszać drugiego narodu rozumnym sposobem żaden wolny naród. Ci zaś urzędnicy i te władze, które dotychczas nie mogły zadosyć uczynić temu gwałtem narzuconemu prawu i dopuściły rokowania (debaty) miejskie i prowincjonalne także w językach narodowych, nie powinny odpowiadać za ten krok przyrodzonej sprawiedliwości.

»6. Żądamy doskonałego urządzenia szkół narodowych, a to mianowicie tak początkowych (elementarnych), jako też realnych mieszczańskich, zakładów dla dziewcząt, zakładów dla wychowywania nauczycieli i księży, następnie zakładów naukowych wyższych, jako to: gimnazjów, liceów, akademji, zakładu politechniczego i jednego uniwersytetu. Wszystkie te zakłady mają być oparte na podstawie wolnego nauczania, a językiem wykładowym dla synów i córek narodu słowackiego nie powinien być żaden inny, jak tylko słowacki, ażeby tą drogą naród słowacki mógł sobie wychować synów, wiernych jemu i krajowi.

»7. Żądamy, ażeby komitaty madiarskie w swoich szkołach, jako też w wyższych i niższych zakładach naukowych zaprowadziły katedry języka słowackiego dla Madiarów, a komitaty słowackie katedry języka madiarskiego dla Słowaków, tak żeby narody te wzajemnie się do siebie zbliżyły, mianowicie żeby Słowacy mogli rozumieć Ma.

diarów, mówiących na sejmie po madiarsku, a Madiarzy Słowaków, mówiących po słowacku.

»8. Kierując się duchem równości narodów, żądamy, ażeby wyrwano z korzeniem wszelkie panowanie jednych narodów i narodowości nad drugiemi narodowościami węgierskiemi, tak aby żaden naród nie był zmuszony do wyrzekania się swojej własności choćby w najdrobniejszych rzeczach. Z tego powodu żądamy, ażeby i słowacki naród miał prawo oznaczać bez przeszkody swoją narodowość swojemi barwami i chorągwiami. Chorągwie czerwono-białe uważamy za słowackie, czerwono-biało-zielone za madiarskie, a chorągwie czerwono-biało-zielone z herbem za krajowe. Również na dowódców gwardji narodowej słowackiej chcemy tylko Słowaków, a komendy dla niej także słowackiej.

»9. Żądamy, ażeby prawo wyborcze opierało się nie na pochodzeniu i stanowości, ale na duchu i prawie równości; dla tego też chcemy, ażeby każdy obywatel, wierny swojemu narodowi, występkami nie splamiony, a w Węgrzech zamieszkały i lat dwadzieścia liczący, mógł być wybieranym. Wyrodnym zdrajcom narodu, gardzącym swoim językiem ojczystym i czy to tajemnie, czy też jawnie intrygującym przeciwko prawu, honorowi i wolności, nie wolno piastować urzędów publicznych. Przedewszystkiem żaś żądamy, aby odtąd żaden zdrajca narodu słowackiego nie mógł urzędować między Słowakami. Zapominając o dotychczasowych winach zaprzaństwa, chcemy się zabezpieczyć na przyszłość, w tem przekonaniu, że zdradę krwi, języka i narodowości słowackiej będziemy uważać za zdradę nietylko naszego narodu, ale całej ojczyzny węgierskiej.

»10. Żądamy wolności prasy bez prawa prasowego, wolności wydawania gazet i czasopism bez kaucji, zakładania drukarń i litografij również bez kaucji; dalej zupełnej wolności zgromadzeń i stowarzyszeń dla naradzania się publicznego o sprawach ogólnych; nie mniej także bezpieczeństwa osobistego przy podróżowaniu po kraju, gdyż z boleścią musimy się użalić, że zdobyta teraz wolność konstytucyjna, skutkiem rozszerzającego się po naszych krajach słowackich teroryzmu i skutkiem bezustannego straszenia i wygrażania, do tego stopnia się gnębi, że nawet publiczne pod gołem niebem przemawianie do narodu bywa uważanem za podburzanie i wichrzenie.

11. (Ten punkt żąda zwrotu majątków, zagrabionych nieprawnie rozmaitym mieszkańcom, oraz ostatecznego zniesienia poddaństwa i pańszczyzny. Również *„regalia beneficia“* mają być obrócone na korzyść gmin).

12. (Ten punkt żąda uwolnienia słowackiego poety i literata Jana K r á l a i jego przyjaciela nauczyciela R o t a r i d e s a, zamkniętych w ciężkim więzieniu jedynie za publiczne zachęcanie ludu słowackiego do strzeżenia własnej wolności).

»13. Wiedząc o tem, że w s ą s i e d n i m k r a j u G a l i c j i, znajdującym się razem z nami pod berłem rakuskiem (austrjackiem), b r a t n i e g o r o d u P o l a c y n i e o s i ę g l i w o l n o ś c i, k t ó r y c h m y u ż y w a m y — dla tego że nieszczęsna biurokracja nie przestaje kłaść na ich drodze najrozmaitszych przeszkód — ż ą d a m y, a ż e b y w s z y s t k i e n a r o d y, należące do korony węgierskiej, właściwemi drogami urzędowemi podniosły p o t ę ż n y g ł o s w s p ó ł c z u c i a c h r z e ś c i j a ń s k i e g o i o g ó l n i e l u d z k i e g o i z w r ó c i ł y s i ę d o J e g o J a s n o ś c i, n a s z e g o k r ó l a i pana we Wiedniu z u s i l n ą p r o ś b ą, a ż e b y j u ż n a r e s z c i e t e m u n i e s z c z ę ś l i w e m u n a r o d o w i w y m i e r z o n o s p r a w i e d l i w o ś ć i ł a s k ę.

»14. Naród słowacki kładzie za warunek swego szczęścia i zabezpieczenia swojej narodowości wypełnienie tych sprawiedliwych żądań, wypowiadając z góry swój szacunek, wdzięczność i zaufanie tak wysokiemu Ministerstwu, jako też wszystkim obywatelom węgierskim, którzy żądania te popierać będą; przeciwnie zaś w odkładaniu albo też w obchodzeniu tych naszych żądań widzieć będziemy skazywanie naszego narodu na dawną ślepotę i służenie Madiarom«.

W tych 14. punktach wypowiedziano wszystko, co z ówczesnego stanowiska można było żądać w imię wolności i braterstwa ludów, oraz w imię wolności osobistej i majątkowej. Nie zapomniano nawet (w punkcie 13-tym) o bratnim narodzie Polaków, uciskanym wtedy przez biurokrację nierównie więcej, aniżeli jakikolwiek inny naród monarchji Habsburgów. Wszystkie te słuszne żądania rozpanoszeni «patryjoci« madiarscy puszczali mimo uszu, a na odbytem we dwa miesiące później zgromadzeniu narodowem w Budapeszcie stanęli na stanowisku wyłącznie madiarskiem. Kiedy ich za daleko idące wymagania autonomiczno-centralistyczne nie zostały w Wiedniu uwzględnione, wypowiedzieli wojnę Austrji.

Ci »patryjoci« madiarscy byli bardzo podobni do protoplastów i r r e d e n t y włoskiej. Tak tu, jak tam pod szumnemi frazesami o wolności i braterstwie kryło się dążenie nie do prawdziwej wolności i równouprawnienia narodów, ale do tego, ażeby, zrzuciwszy z siebie »jarzmo« austrjackie, módz z tem większą swobodą centralizować i tępić wszelkie odrębności miejscowe. Oczywiście w Węgrzech ta wszechwładza narodu uprzywilejowanego musiała wystąpić nierównie potworniej i brutalniej, aniżeli we Włoszech, gdzie w każdym razie ludność jest daleko bardziej jednolita. Ale i we Włoszech »zjednoczonych« wystąpiono zajadle przeciwko wszelkim odrębnościom lokalnym o charakterze czy to historycznym, czy też etnograficznym, ostrząc sobie zarazem apetyt na części integralne państwa austrjackiego, i mając szczere postanowienie zupełnego wynarodowienia »poddanych« czy też »współobywateli« pochodzenia słowiańskiego.

Wszystko to jednak wyjaśniło się dopiero w późniejszych latach. Rok 1848 dał tylko pierwszy

impuls w tym kierunku. Zawrzała wojna między Węgrami a Austrją, właściwie zaś między Madiarami węgierskimi a Austrją: boć Słowianie węgierscy wystąpili otwarcie przeciw Madiarom, broniąc nie tylko swej wolności narodowej, ale także całości Austrji. Kossuth ofiarowywał koronę św. Stefana cesarzowi Wszechrossji, ale Mikołaj I. był zanadto lojalnym, ażeby przyjąć podobny podarunek. Madziarowie »zdradzili« swego »prawowitego władcę», Słowacy pozostali mu wierni i krew za niego przelewali. Za to też Madziarowie są dziś wyłącznymi panami Węgier i mają nieograniczoną władzę tępienia wszelkiemi sposobami narodowości słowackiej.... (D. c. n.)

J. Baudouin de Courtenay.

SPŁATA

PRZEZ

13) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.

— I dotrzymałem słowa — dodał, opowiedziawszy mi to straszne przejście. — Wszedłem do drugiego pokoju, aby otrzeć łzy i twarz ułożyć do uśmiechu. Słyszałem, jak ojciec mówił:

— Co to, Eugenjusz przyszedł? Widzę jego kapelusz.

— Tak — odpowiedziała matka. — Szuka właśnie książki w bibljotece. Dobrze, że wstąpił wcześniej... Po twojem wyjściu zrobiło mi się słabo... Wybadał mnie i mówi, że to przejdzie.

W sercu kochającem znalazła pobożne kłamstwo, dzięki któremu mogłem, nie budząc zdziwienia w ojcu, pokazać się z zaczerwienionemi oczyma i twarzą wzburzoną.

Opuściłem ich natychmiast... Nie mogłem już dłużej nad sobą panować... Czy uwierzysz: najcięższą była chwila, w której znalazłem się sam. Szedłem, gdzie mnie niosły oczy i nogi: chciałbym uciec od siebie, przed sobą się ukryć, nie spotykać własnej myśli.

Zdawało mi się, że ta myśl nie jest moją, że ją ukradłem, tak, jak ukradłem moją inteligencję, moją wiedzę, wszystko, co było we mnie wznioślejszem.

Powtarzałem sobie, że te lata pracy, które mnie uczyniły tem, czem byłem, że całą tę naukę, tak umiłowaną serdecznie, całą tę kulturę, z której byłem tak dumny, wszystko to, wszystko zdobyłem cudzym kosztem, cudzemi pieniędzmi — pieniędzmi tamtego biedaka.

I widziałem go w nędznej izdebce pod strychem, stawała mi przed oczyma jego twarz spodlona, spłowiała; w uszach mi brzmiała jego mowa zająkliwa, w której bezwstydnie, w całej nagości, ukazywał mi swoją duszę. I całe jego upodlenie, cała sromota spadały na mnie — na mnie!...

Napróżno powtarzałem sobie to, co mi mówiła matka: że odpowiedzialny nie jestem, tę odpowiedzialność czułem w sobie, nad sobą, była mi ona takim pewnikiem, jak śmierć i życie, nad któremi wszelka dyskusja jest niemożliwą.

Gdybyś się dowiedział, że klejnot, który ci ofiarowano, dajmy na to pierścionek, został zdobyty na drodze mordu i grabieży, tobyś go nie nosił ani chwili, zerwałbyś go z palca, wyrzucił, aby nie mieć krwi na sobie.

A czy ja mogę wyrwać sobie mózg, a z nim wiedzę, którą zdobyłem kosztem morderstwa?

Bo czyn moich rodziców nie jest niczem innem, jeno morderstwem. Można zabić nietylko bronią palną i trucizną. Zabija się człowieka, odejmując mu to, co dałoby mu życie.

Szalałem z bolu i wstydu na samą myśl, że ukradzione pieniądze weszły mi w mózg, stały się moim rozumem, moją nauką, i że nie mogę oddać depozytu, naruszonego na rzecz moją.

Ale go oddam... oddam...

— To jedyne rozwiązanie — wtrąciłem. — Twoja matka słusznie powiada, że nie jesteś odpowiedzialnym za to, co oni uczynili dla ciebie. Twój obowiązek jest prosty, zrozumiałeś go odrazu: naprzód idąc za głosem serca, gdy ci nakazał mieć litość nad matką i na stare lata oszczędzać ojcu śmiertelnego bolu, a wreszcie teraz, idąc za głosem rozumu, który ci wskazuje, że powinieneś wynagrodzić krzywdę, uczynioną temu biedakowi: przedewszystkiem zwrócić mu pieniądze, a potem wyleczyć go z nałogu, który go trzyma w niewoli. A wierzaj mi: byłby w nią popadł tak samo z temi pieniędzmi, jak i bez nich. Jeśli go wyleczysz, rachunki między wami zostaną zrównane.

— Nie — rzekł, patrząc na mnie oczyma, wyrażającemi tę moc ducha, która mnie pociągnęła ku niemu odrazu przy naszem spotkaniu w ogrodzie Luksemburskim. — Nie — powtórzył — to nie wystarcza.

W tej chwili wynurzeń istniała między nami tajemnicza spójnia duchów, bo i jemu stanęło przed oczyma to samo wspomnienie.

— Pamiętasz — mówił Eugenjusz — nasze spotkanie w ogrodzie, nasze rozprawy: pamiętasz, jak ci wyłuszczyłem powody, które mnie skłoniły do rozpoczęcia studjów medycznych. Powiadałem ci, że łaknę, że pożądam jakiegoś pewnika. Zdawało mi się, żem go znalazł w zawodzie lekarskim. Pamiętasz? Marzyłem o wyborze takiego zawodu, który byłby usprawiedliwionym i użytecznym w obu hypotezach: istnienia lub nieistnienia Boga, wolności lub niewoli ducha, życia zagrobowego lub nicości.

Otóż nadeszła dla mnie chwila, w której taka podwójna hypoteza już mi nie wystarcza. Muszę uwierzyć w jedno lub w drugie — uwierzyć bezwzględnie.

Mówisz mi o zwrocie pieniędzy i wyleczeniu ofiary moich rodziców? Ale choćbym nawet spłacił w stokroć tę sumę, choćbym wyrwał Roberta ze szpon nałogu, to czy zdołam mu powrócić młodość, wszystkie utracone korzyści, słowem, czy zdołam powetować mu straty niepowetowane?

Tak się rzecz przedstawia, jeżeli Boga niema.

Ale jeżeli jest, jeśli dla czynów ludzkich istnieje dalszy widnokrąg od ziemskiego, to mogę położyć zasługi, które pójdą na rachunek tego nieszczęśnika...

Nie od dziś myśli podobne krążą mi po głowie... Od czasu, jak w szpitalach widziałem siostry miłosierdzia, obsługujące chorych, rozważałem dużo nad tem, co katolicy nazywają Świętych Obcowaniem,.. Ukazywało mi się ono, jako jedyne wyjaśnienie wielu rzeczy.

Jakże inaczej mógłbyś wytłómaczyć to, co mnie spotyka?.. Wszak ponoszę karę za winę moich rodziców? Prawda? A czyją że Robert jest ofiarą, jeśli nie winy mego ojca? Jedni muszą cierpieć za drugich, dlatego też jedni za drugich muszą kłaść zasługi. Katechizm nazywa to Świętych Obcowaniem... Więc jest jakaś władza wyższa, która mierzy i wydziela kary; a jeśli wina z jednej osoby spada na drugą, to tak samo zapewne dobro i zasługa. To nie są czcze teorje, to owoc doświadczenia.

Wszak widziałem taki przykład na własnej matce, która przez lat dziesięć obawiała się wymiaru sprawiedliwości, aż wreszcie ta sprawiedliwość ją dosięgła i to przezemnie. A ponad sprawiedliwością musi być sędzia, który ją wymierza. Za spłatą musi być dłużnik.

— Stąd wniosek? — spytałem, przerywając jego milczenie.

— Wniosek taki: jeśli Boga niema, to dla ofiary moich rodziców nic uczynić nie mogę. Jeśli Bóg jest, mogę wiele. A on jest! — dodał głosem, który mi do dziś dnia brzmi w uszach.

. . . .

Szesnaście lat upłynęło od chwili, gdy Eugenjusz, pod bezpośredniem wrażeniem opisanych wypadków wyłuszczał mi takie teorje. Przez te lat szesnaście pozostał wierny zasadom, głoszonym w tej rozmowie.

Starzy Corbières oddawna już pomarli; ona zeszła ze świata ukojona przebaczeniem syna, on, nie domyślając się ani na chwilę, że syn wie o ich zbrodni.

Umarł i Piotr Robert, choć Eugenjusz wyrywał go chorobie i śmierci z zapałem. Wkrótce po tych trzech zgonach, które nastąpiły szybko po sobie, on sam, ku zdziwieniu kolegów, opuścił świetne stanowisko ordynatora szpitala, porzucił rozległą praktykę, wyrzekł się odznaczeń i zaszczytów, któreby go spotkały niewątpliwie i wstąpił do zakonu braci pod wezwaniem Jana Bożego, poświęcających się obsłudze chorych.

Ilekroć moje wędrówki po świecie zawiodą mnie do Marsylji, gdzie owi zakonnicy rozwijają swą dobroczynną działalność, odwiedzam zawsze ich szpital i wzywam do rozmównicy ojca Roberta.

Pod czarnym habitem odnajduję mojego dawnego kolegę z filozofji, uczonego, który mógł był zdobyć sławę wszechświatową, dziecię dwojga istot zbłąkanych, które miłość rodzicielska popchnęła do zbrodni.

A za każdym razem znajduję go pogodniejszym i coraz pewniejszym tej prawdy, której szukał długo, w oczach jego widzę coraz większy spokój.

Oddając swą wiedzę na usługi cierpiącej ludzkości, szafując tem bogactwem, którego za swą własność nie uważa, znalazł jedyny może sposób oddania depozytu, który jego rodzice naruszyli.

Doprawdy, nie umiałbym powiedzieć, czy z pośród ludzi mojego pokolenia temu zazdrościłem, czy też temu współczułem najbardziej...

KONIEC.

POETKA WŁOSKA.

(Dokończenie).

Nad tymi „wielkimi“, co cisi i niemi giną w masie bezimiennej, nieznani i przez nikogo nieopłakiwani; nad tymi, których krzywda dotknęła, a oni w obronie własnej głosu nie podnoszą — płacze poetka krwawemi łzami serca swego; otacza ich czcią i najczulsze uczucia im oddaje. Zwyciężonych, opuszczonych i nieradośnych najwięcej kocha poetka. Oni stanowią jej rodzinę, przed nią skargi swoje zanoszą i zwierzają się ze swoich udręczeń. Wśród

wielu innych poświęca im poetka serdeczny wiersz p. t. „*I Vinti*“ (Zwyciężeni), gdzie siebie samą stawia w ich tłumie, jakby w najwłaściwszem dla siebie miejscu.

Widma tych „zwyciężonych“ i zmęczonych pracą nad siły, ścigają wszędzie poetkę, stają pred jej wzokiem w chwilach największych upojeń miłosnych, wywołują w jej piersi bolesne bicie serca, patrzą z zazdrością i wyrzutem mówiąc:

„Tu pur, tu pur verrai:“

(przyjdziesz i ty do nas).

Większość lepszych natchnień swoich poświęca A. Negri wywyższeniu ich życia nędznego, uczczeniu ich pracy niewdzięcznej, ich cierpień i poniżeń. W obu zbiorkach mnóstwo utworów obrazujących trudy i walki mas nieuprzywilejowanych. („*Sciopero*“, „*Disocuppato*“, „*Madre-Operaia*“, „*Fanciullo*“ i t. p.).

Ich życie i walkę uporczywą, ich dążenia i ideały, wiarę i poczucie dumy, zdobyte przez pracę, uważa poetka za rzeczy najświętsze i najcenniejsze dla siebie. Za cenę największych rozkoszy osobistych tegoby się nie wyrzekła. Wyznaje to w prześlicznym wierszu, drgającym bólem i szczerą namiętnością, p. t. „*Hai lavorato*“. Zwraca się tu poetka do człowieka, który pragnąłby posiąść „kwiat jej młodości, z ust brać pocałunki i uśmiechy“, i pyta go:

„Hai lavorato?.. Le virili insonnie
„De la notte in severe opre vegliata,
„Di, non conosci tu?..
„A qual fede o vessillo hai consacrata
„La tua florida e bella gioventu?..

(Czyś pracował?... powiedz, czy ci są znane noce bezsenne, co schodzą na pracy surowej?.. Jakiej wierze, jakiemu godłu oddałeś swą kwitnącą i piękną młodość).

„Oh, gdybyś był znużony i pokrzywdzony — powiada mu — gdyby głowa twoja wyrastała wysoko po nad tymi, co ugrzęźli w marnem i gnuśnem lenistwie... etc..., wówczas ukochałabym ciebie... na twoją pierś złożyłabym głowę, pełna szacunku i blada z miłości... Lecz ty kim jesteś? czego się spodziewasz po mnie, o nędzny niewolniku, marniejący w złotych okowach?... Ustąp mi z drogi — idź precz. Niczem jesteś dla mnie — idź — gardzę tobą, wątły synu nikłego wieku“ („Hai Lavorato“ — „Fatalita“ str. 181). Tak energicznie surową ręką odtrąca od siebie poetka rozkosz i pełnię istnienia.

Wiadomo, że życie wymogło na niej kompromis i zmusiło do ustępstw. Mówi o tem szczerze, bez deklamacji w wierszu „Amor Nuovo“, (Tempeste), tłómacząc dlaczego i na jakich warunkach przyjęła uśmiech losu i szczęście osobiste. Tam oświadcza, że nigdy nie zejdzie z drogi, wskazanej jej przez cierpienie bohaterów i męczenników; tam wyraża nadzieję, że życie nowe pozwoli jej urzeczywistnić ideał miłosierdzia i poświęcenia. Nawet w chwili przełomu, dusza jej nie wątpi, że będzie tak, jak pragnie, żeby było. Tylko proste i niezniepraw ione dusze, mają podobną wiarę. Poetka ufa sobie i pewną jest swych postanowień, zupełnie tak samo, jak nie wątpi o tem, że trzeba walczyć ze złem i budzić litość w sercach ludzkich dla biednych i osieroconych...

Ogólny ton jej pieśni zawsze nacechowany jest powyższą pewnością — jest zawsze czysty i donośny, niekiedy nawet ostry, jak stal lśniąca i grzmiący, jak surma bojowa. Poetka wie zawsze czego chce i umie domagać się natarczywie: pewna jest, że dobrą idzie drogą i głos zabiera w świętej sprawie.

Natura wybuchowa, zapalna i szczerze — namiętna, najprostszą drogą idzie do celu, refleksją się nie ubezwładnia, marzeniem nie zadawala się, Brak jej dlatego tonów miękkich, mglistych i przyćmionych. Surowość wszakże postawy nie odbiera wdzięku i delikatności jej wielu utworom („Rosa apassita“, „Notte“, „Nebbie“ i t. p.).

Największą wszakże jej zaletą jest: szczerość i bezpośredniość wzruszeń. Wszelkie oburzenia jej duszy gwałtownej są natychmiastową, najprostszą reakcją na podrażnienia z zewnątrz odebrane. Ada Negri patrzy na świat nie przez pryzmat wyrozumowanego programu, nie dlatego, że należy do tych lub innych — ona z serca własnego, kochającego i silnie odczuwającego krzywdy ludzkie, czerpie wszelkie pociski, wszelkie bodźce do wybuchów oburzenia i namiętnych protestów.

Piękne, nierozdwojone, miłujące gorąco i ofiarne serce, przynoszące zaszczyt płci swojej i ojczyźnie własnej. *Wł. Jabłonowski.*

Z pism i książek.

Słownik języka polskiego pod redakcją Jana Karłowicza, Adama Ant. Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego. Warszawa 1898 — 1899 zeszyty 1 — 4, str. 640. *(A—Dziej.)*.

Na półkach księgarskich ukazał się świeżo już czwarty zeszyt „Słownika języka polskiego“. Wydawnictwo to ze wszechmiar zasługuje na większą uwagę społeczeństwa polskiego, tak z powodu, iż dzieło tego rodzaju wypełnia wielką lukę w szczupłym u nas dziale prac, poświęconych językowi polskiemu, tak znów z drugiej strony z powodu bezinteresowności uczonych, którzy się zajęli tem wydawnictwem.

Wskutek przynależności naszej politycznej do państw, z których każde posiada swój odmienny język i odmienną kulturę, pozostając pod wpływem ich dążeń centralizacyjnych — kaleczymy język nasz i pstrzymy go dziwolągami, już to bez rozmysłu i potrzeby, używając wyrazów obcych, zwłaszcza, gdy posiadamy odpowiednie rodzime, już to przez przesadzony i źle zro-

zumiały purytanizm językowy, sztucznie kując rzekomo swojskie wyrazy.

„Źle sądzą, zdaje mi się — mówi Jan Śniadecki — ci, którzy rozumieją, że się język bogaci, kiedy do swych ubiorów przyjmuje obce. Jest to owszem najkrótsza i bita droga do jego zguby, bo, przydając mu fizjognomje obce, zacieramy jego własną“.

Pochop do korzystania z terminologji obcej, a co za tem idzie i usunięcie na plan dalszy — z czasem całkowicie — wielu słów rodzimych, jest nawet wyzyskiwanym przez tych, którzy najwięcej wad u nas widziećby chcieli, jak najwięcej nas poniżyć....

Przytoczymy tu dla przykładu następujący fakt: Pawliszczew, znany „diejatiel“ na niwie rusyfikacji Polaków, dla uzasadnienia swej tezy o niższości naszej pod względem rozwoju prawodawstwa, w dziele swoim pt.: Polskaja anarchija pri Janie Kazimirie i wojna za Ukrajny (Petersburg 1878, t. I., str. 58) pisze: „Wyraz „законъ“, lex, ulotnił się z języka polskiego i zamienił się wyrazem „право“, jus, prawo — tak, iż pomiędzy wyrazem „zakòn“ (lex), a „prawo“ (jus) nie było i nie ma żadnej różnicy“, w odsyłaczu zaś autor dodaje, że w słowniku polskim jest wyraz „zàkon“, który jednak oznacza „zakon klasztorny“.

Ta więc okoliczność, iż obecnie młodsza gieneracja z pod zaboru rosyjskiego, pod wpływem języka państwowego, zapomniała do pewnego stopnia o licznych i ścisłych terminach rodzimych, daje powód niechętnym nam pisarzom przypisywać tę wadę nowszych czasów nawet tak odległym czasom, jak czasy Jana Kazimierza, a mającą rzekomo świadczyć o naszem ubóstwie słownictwa prawniczego, ewentualnie o brakach w rozwoju życia społecznego. Wcale jednak tak nie jest, jak się zdaje Pawliszczewowi, pomniki bowiem nasze zachowały nam bogatą terminologję prawniczą polską, rozróżniającą prawo (jus) od ustawy (lex).

Znaleźli się też ludzie — niestety szczupła ich garstka, — którzy umieli ocenić te owoce pracy wieków ubiegłych, którzy umieli uszanować pamięć przodków naszych przez zachowanie używanej przez nich terminologji. Dzięki usiłowaniom tych jednostek, rozpoczęły się opracowania różnych słowników poszczególnych, odnoszących się do pewnych specjalności. Niektóre z nich okazały się w handlu księgarskim. Lecz brak nam było słownika ogólnego języka polskiego, któryby w możliwie szerokich rozmiarach zaspakajał potrzeby ogółu.

Głośny pomnikowy słownik Lindego (Warszawa 1807—14, 6 tomów, wyd. 2-gie powiększone Lwów 1854—60, również w 6 tomach), zawierający wyrazy zaczerpnięte z pisarzów polskich od wieku XVI. do początku XIX., dalej słownik wileński, opracowany zbiorowemi siłami (Wilno 1861, 2 części) i ostatecznie słownik Rykaczewskiego podręczny (Berlin 1866, 2 tomy, wyd. 2-gie, tamże 1873 też 2 tomy), nie odpowiadają obecnym wymaganiom tak teoretycznym, jak i praktycznym. Teoretycznym — albowiem pozostają one daleko za postępem nauk mających za swój przedmiot badanie języka we wszystkich jego objawach; praktycznym — z powodu stosunkowo nieznacznej ilości wyrazów i wyrażeń, zawierających się w owych słownikach i braku tych, któremi się język nasz wzbogacił w ciągu bieżącego stulecia.

Aby więc uczynić zadość tym wymaganiom, grono uczonych, miłujących naukę dla niej samej, pracowitych a bezinteresownych, zajęło się opracowaniem i wydaniem obszernego słownika języka polskiego, którego właśnie czwarty zeszyt mamy przed sobą (str. 481—640 Doc. — Dziej.). Słownik ów — nazwijmy go np. „warszawskim“ — zawiera w nader obfitej liczbie (wyrazów np. na literę A słownik Lindego zawiera 865, wileński 1.633, a „warszawski“ 3.540!) Wyrazy polskie powszechnie używane w języku żywym i literackim z szerokiem uwzględnieniem wyrazów dawniejszych i gwarowych, jak również i wyrazy techniczne, czyli t. zw. terminologję. Wielką zasługą redaktorów nowego słownika jest wprowadzenie do niego żywiołu etymologicznego, czyli słoworodowego, przez podawanie pierwiastków, od których pochodzą odpowiednie wyrazy, jeśli są one słowiańskiemi i przytaczanie wyrazów obcych, od których się wywodzą wyrazy zapożyczone.

W pracy nad tym słownikiem przyjmowali udział uczeni znani szeroko na polu naukowem, że wymienimy tu kilku: prof. Baudouin de Courtenay (słoworód wyrazów rodzimych i porównawczy spis pni), prof. Ad. Ant. Kryński (część staropolska), p. J. Karłowicz (wyrazy gwarowe, zapożyczone i muzyczne), prof. Kalina, p. Niedźwiedzki, prof. Łaguna i wielu wielu innych.

Cena tego słownika jest niezwykle niską, całość bowiem, obejmująca około 240 szesnastostronicowych arkuszy i podzielona na cztery tomy, w przedpłacie na miejscu wynosi 10 rubli, czyli, że arkusz 16-tostronicowy wielkiego formatu kosztuje bajecznie tanio, bo tylko 4 kop.! Wydawcom, którzy własność dzieła przekazali kasie im. dra Mianowskiego rzeczywiście, wobec tej taniości „chodzi tylko o pokrycie kosztów rękopisu, druku, stereotypów i papieru z wpływów przedpłaty“ — jak zaznaczono w prospekcie. Ta bezinteresowność współpracowników i wydawców przekonywa nas o tem, iż owa praca mozolna i ciężka jest owocem szlachetnego zapału i poświęcenia się.

Wobec zaznaczonych okoliczności wprost jest obowiązkiem społeczeństwa myślącego i mówiącego po polsku zainteresowanie się tem wydawnictwem i wzbudzenie w sobie poczucia wdzięczności względem tych, którzy dla dobra tego społeczeństwa ofiarowali swą pracę bezinteresownie.

Najlepszym wyrazem wdzięczności będzie, gdy się słownik ów rozejdzie w jak najznaczniejszej liczbie, gdy w głębi ducha każdego z współpracowników zapanuje to moralne przekonanie, że praca ich uwieńczona została pożądanym skutkiem, w rzeczywistości odpowiadając potrzebom najszerszego ogółu.

Potrzeba więc z zaufaniem poprzeć ten owoc szlachetnej ich pracy i w porę, bo bis dat, qui cito dat.

H. Ułaszyn.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.